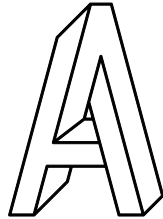
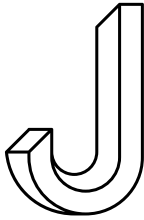
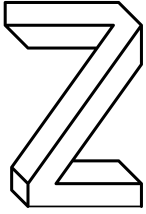
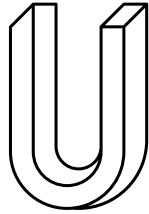
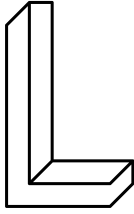


MARTA MALINOWSKA



*Był tylko jeden początek, kiedy zapłonął czas,
i jeden będzie koniec, gdy pożar wygaśnie*

SON
imaginatio

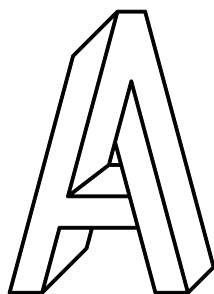
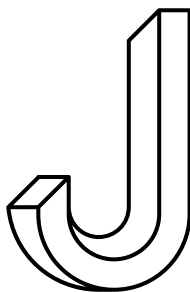
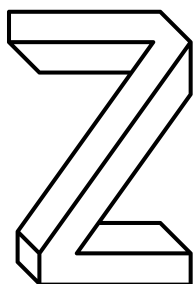
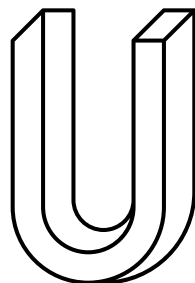
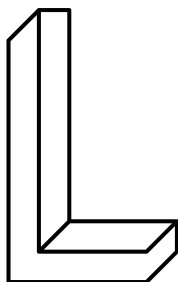




Marta Malinowska

Z wykształcenia jest antropolożką kultury. Debiutowała w 2006 roku opowiadaniem *Życzenia* w „Czasie Fantastyki”, od tamtej pory publikuje dość regularnie. Kilka z jej opowiadań (*Jad*, „Nowa Fantastyka” 10/2012; *Noże*, „Nowa Fantastyka” 2/2016 i *Egzaminy*, „Nowa Fantastyka” 9/2018), dzieje się w uniwersum *Iluzji*.

MARTA MALINOWSKA



KRAKÓW 2019



Iluzja

Copyright © by Marta Malinowska 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Joanna Miika

Korekta – Paweł Wielopolski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – kenall / 123rf.com, Hanna Zasimova / 123rf.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

SQN
WYDAWNICTWO
LINE CLIP SQN

Wydanie I, Kraków 2019

ISBN: 978-83-65836-15-1

Michał Cetnarowski prezentuje:
**FANTASTYCZNIE
NIEOBLICZALNI**

„Hornak owszem, spojrział na fresk z żalem, z rozdzierającą rozpaczą, bo pustka w jego wodnistych oczach była pustką po czymś utraconym i gdzieś w głębi był tego świadom. Wyrwano jednak z niego zbyt wiele i zbyt skutecznie, by świadomość ta mogła stanowić jakieś zagrożenie – wrzucił więc kadzidło, poprosił, o co miał poprosić, uklonił się i wyszedł”.

*

Jaki jest przepis na dobre fantasy? Przynajmniej od czasów Roberta E. Howarda w tej materii nie zmieniło się wiele: wciąż podstawowymi składnikami są tu intrygujący i wielowymiarowi bohaterowie, bogaty i umagiczniony świat przedstawiony oraz wciągająca historia, dzięki której możemy poznać jedno i drugie. Na każdej z tych płaszczyzn i w każdej z epok Stare miesza się z Nowym, oryginalność

wykrawa sobie coraz to większe strefy wpływów na skolonizowanych już kontynentach konwencji i w ten sposób z każdą udaną wyprawą w królestwa Magii i Miecza mamy poczucie, że odwiedzamy lądy znane, ale wędrujemy po nich na nowo wytyczanymi szlakami.

Podobne prawa rządzą uniwersami i tych, którzy kładli kamienie milowe na mapach tego multiświata – jak J.R.R. Tolkien czy Ursula Le Guin – i tych, którzy w ostatnich latach wypełniali tę formułę na poziomie premium – jak George R.R. Martin czy u nas Robert M. Wegner – i ambitnych debiutantów, którzy dopiero wylądowali na dziewiczej plaży i uczynili na niej swoje pierwsze ślady.

Iluzja Marty Malinowskiej to od tej strony niewątpliwie klasyczna fantasy, która próbuje powiedzieć coś nowego w przyjętych przez siebie ramach.

*

Ren Urtyczyk od trzech miesięcy przebywa w kamieniołomach. To wtedy upadło powstanie przeciwko wyniosłym Diogorczykom, którzy podatność na magię amputują sobie w trakcie Rytu Krwi. Ren jest także Przewodnikiem: opiekunem, który ma baczenie na to, żeby Widzące nie zatraciły się w swoim transie. Kiedy w więzieniu, którego nawet strażnicy nie opuszczają za życia, u jednej z zatrzymanych dochodzi do samorzutnej manifestacji tego daru będącego przekleństwem, Urtyczyk podejmuje z oprawcami skomplikowaną grę, której zasad nie zna żadna ze stron – i od początku jasna jest tylko stawka. Za magię żywołów płaci się zawsze krwią.

Trzy wierzchołki tego dramatu tworzą Przewodnik, Vera – owa Widząca, była buntowniczką, której w trakcie transu skradziono tożsamość – i Jorg, strażnik, który w kamiennej cytadeli pokutował za dawne błędy, a teraz próbuje uchwycić szansę na odmianę losu. Dokąd poprowadzi ich droga w poszukiwaniu spisku, który może zagrozić najeźdźcom? To jedno pytanie, zadane na płaszczyźnie fabularnej. Równie istotny, jeśli nie ważniejszy, jest cel tej wędrowni na płaszczyźnie duchowej, czasem zresztą bardzo realnej, gdy bohaterów porywa wir wizji Widzącej.

Verze skradziono imię i przeszłość, z buntowniczką zamieniając ją w wierną agentkę ludzi, przeciw którym walczyła. Urtyczyk musi się zmierzyć nie tylko z rozpadającą się osobowością Widzącej, ale także z nienawiścią zaszczipioną jej przez wrogów, którzy odebrali mu wszystko. Jorg posunie się do każdego okrucieństwa, powodowany tęsknotą za życiem, w którym nie wszystko zostało osądzone i skazane na klęskę.

„Dobrze, że chociaż ta nienawiść w niej została – Derek uśmiechnął się, niemal tkliwie. – Dzielna dziewczyna”.

Kluczem do historii każdej z tych postaci okaże się pamięć i tożsamość, o które tak naprawdę toczy się walka.

*

W wielkoskalowym ujęciu fabuła debiutanckiej powieści Malinowskiej czerpie najwięcej z klasycznych wzorców fantasy, z tego jej podgatunku, w którym najważniejsze są imperia, podboje, polityczne intrygi i podchody między królestwami. Istotniejsze jednak wydaje się to, co rozgrywa

się w skali mikro: poza kręgami władzy, w relacjach pomiędzy odsuniętymi na margines historii bohaterami. W naszych postpolitycznych czasach upadku wielkich narracji, zwłaszcza tych związanych z późnokapitalistycznymi rytuałami wokół teatru demokracji, takie ujęcie w historiozofii dominuje już praktycznie powszechnie, ale przyjemnie sobie uświadomić, że przeniknęło też na karty popkultury. Politykę i historię uprawiają być może „władcy” – królowie, cesarze, CEO, politycy – ale życie, czyli to wszystko, co nas otacza, tkane jest z materii dużo subtelniejszej i nie tak fasadowej.

Nie musisz być generałem i ratować królestwa, żeby twój czyn coś znaczył. Czasem wystarczy, że uratujesz kilka istnień wokół ciebie – i tym samym ocalisz garstkę skazanych na zagładę światów.

*

Znamienne, że powieść Malinowskiej nosi tytuł *Iluzja*. Kłamstwa, manipulacje, pogoń za tożsamością wymykającą się poznaniu i rozliczne ułudy na temat swój i innych pojawiają się w zasadzie na wszystkich jej kartach.

To przypadek, ale z gatunku tych, które układają się we wzór: *Iluzja* ukazuje się zaraz po *Cynobrowych polach* Aleksandry Radlak, które otwierały serię „Fantastycznie nieobliczalni”. Tam też pojawiały się podobne kwestie, tylko może oświetlane z nieco bliższej odległości ogniem wciąż tłącej się wojny. W *Iluzji* konflikt zbrojny schodzi na dalszy plan – tylko po to, żeby wyostrzyć to, co w obu powieściach wydaje się wspólne. Czy kłamać w relacjach

człowiek kontra człowiek, wciąż jesteś w stanie zachować szczerłość wobec świata?

„Chodziło o coś bardziej nieuchwytnego – długość i głębokość cieni, siwe nitki pajęczyn pod okapami i chłód, który spowijał wąskie, kręte uliczki bez względu na to, jak mocno świeciło słońce”.

Jest w tekście taka scena, fabularnie niezbyt istotna, dopowiadająca raczej tło i legendy opisywanego świata niż wpływająca bezpośrednio na wydarzenia powodujące bohaterami, ale na płaszczyźnie symbolicznej, jak się wydaje, kluczowa. Oto widzimy spiżowy posąg młodej dziewczyny, która właśnie straciła równowagę, z rozszerzonymi przerażeniem oczami, na moment przed tym, zanim poleci w przepaść i objęcia śmierci. Rzeźbę kazała wykonać jej matka, która nie zdołała ocalić córki, gdy ta wpadła w magiczny trans. Następnie opętana rozpaczą, napędzana szaleństwem kobieta stała się półboską Królową, przekroczyła granice przestrzeni i czasu.

I właśnie ten posąg dziecka, które w jednym błysku pojęło swój przerażający stan, na chwilę przed śmiercią osiągnęło krystaliczne zrozumienie swojej sytuacji – to byłby obraz wszystkich bohaterów, których upadek już się rozpoczął. Różni ich tylko stopień tego, na ile go sobie uświadamiają.

*

Kluczem do każdej iluzji wydaje się oszustwo – ktoś musi maskować sedno sztuczki, odwracać uwagę, mylić tropy, żeby ktoś inny mógł uwierzyć, że zobaczył prawdę. Sprawy się komplikują – jak w matematycznym problemie trzech

ciał – kiedy graczy jest więcej, a ty przestajesz mieć pewność, kto jest jeszcze prestidigitatorem, a kto już widzmem, który dał się nabrać. Czy nie na tym zresztą polega problem dzisiejszego świata: budowanego na chwiejnych fundamentach postprawdy, deep fake’ów i postdziennikarstwa wyrosłych na terenie opuszczonym przez zdekonstruowane przez postmodernistów pojęcie obiektywnej „prawdy”?

Żyjemy w społeczeństwie spektaklu, w którym świat jest teatrem, a aktorami ludzie, którzy kolejno logują się i już tak zostają, zagubieni w labiryncie mediów społecznościowych, samorozwoju traktowanego jak religia i treningów personalnych „szczęścia”, na które przepis zmienia się wraz z kolejnymi modami. Tak jak bohaterom *Iluzji* pozostała nam tylko gra, „nagie życie” – fotografowane na Instagramie z hasztagiem „porn life” – też jest już rodzajem pozy, a prawdę od fałszu odróżnia jedynie liczba lajków. Wszystkich nas wciąga wir, który powstał po posthumanistycznej zapaści niedawnych aksjomatów. Dla niektórych przejście przez ten tunel okaże się wyzwalające, dla innych straszne – ważne, że wszyscy od nowa, samodzielnie, będziemy musieli zdefiniować granice tego nowego, wspaniałego lub przerażającego świata.

Protagoniści *Iluzji* też zatracili fundamenty, na których, jak się im wydawało, budowali stabilną tożsamość. Pytanie tylko, czy ten pozór stabilności też nie był fałszem, rodzajem złudy, z którego wyzwolenie wiedzie przez bolesny chrzest kolejnych kłamstw, zdrady i niepamięci. Pisany małą czcionką kruczek psychologiczny polega na tym, że przeszedłszy przez ten cały cykl, jak w dryfie po spirali, wracasz do tego samego miejsca – ale nie jesteś już takim samym. Co się zmieniło, ty czy świat? A może po prostu

to żadna różnica? Bo że coś jest inne, mówią ci nie tylko spojrzenia wokół ciebie, ale też własne wspomnienia – co z tego, że zostały ci zaimplementowane?

Granica między pamięcią i tożsamością to zawsze była ziemia niczyja, na której nieustannie toczy się walka o stereotypy, mechanizmy wyparcia, dyskursy i najszczerze – co nie znaczy, że „najprawdziwsze” – przekonania.

*

Brzmi to bardzo serioznie, więc żebyśmy mieli jasność: debiut Malinowskiej to dalej przygodowa fantastyka „do czytania”, w której trup ściele się gęsto, a wydarzenie goni wydarzenie. Wśród swoich inspiracji i literackich wzorców autorka wymienia Ursulę Le Guin i N.K. Jemisin – pisarki bardzo świadome swojej kobiecości – oraz Sapkowskiego tam, gdzie na scenę wchodzi u niego czarodziejki. W sensualnej, bogatej w soczyste opisy, pełnej witalnej energii *Iluzji*, gdzie magia jest emocją, a kobiety stanowią siłę kształtującą rzeczywistość, bardzo ładnie widać te inspiracje.

„U stóp wzgórza, na środku wciąż pustej ulicy, okręciła się tanecznie, nie zwracając uwagi na grad uderzający ją w twarz i ramiona, a potem błyskawicznie zerwała buty ze stóp. Popędziła dalej, z impetem wskakując w kałuże. Czasem przystawała, by spojrzeć w niebo, kłębiasty granat rozcinany świetlistymi żyłami, i było tak, jakby błyskawice ryły wzory w jej oczach i umyśle. Wiedziała, że zawsze już będzie podążała ich ścieżkami”.

Rzecz jest napisana ze swadą, czasem wręcz swobodą young adult, dobre wrażenie robi zwłaszcza oryginalny

system magii żywiołów, opartej na śpiewie i zainspirowanej formułą musicalu, który autorka reżyserowała. Co ci jednak po umiejętności przewidywania losów bliskich, kiedy nie jesteś w stanie ich ocalić? Kiedy nie jesteś w stanie ocalić nawet samej siebie? Iluzja to złudzenie wieczności, kiedy budujesz tylko kolejne zamki na piasku. Jak wyrwać się z podobnego impasu?

Kluczem w przypadku bohaterów Malinowskiej wydaje się anamneza, pojęcie zaczerpnięte z antycznej gnozy. Dopiero gdy przypomnisz sobie, kim powinieś być, kim byłeś „przed wrzuceniem w czas”, możesz stać się tym kimś naprawdę. W przypadku Very – żyjącej pod fikcyjnym imieniem i osobowością Migny – to procedura bardzo dosłowna, co nie znaczy, że pozbawiona drugiego dna. Wszystko, co potrzebne, by uzdrowić człowieka, zostało ukryte już w nim samym.

Nie jest paradoksem, że bohaterowie najwyraźniej widzą swój kształt w ciemności, za zamkniętymi powiekami.

*

„Jednak żaden bieg nie zatrzyma tego, co się rozwiewa. Migna odkryła to na szczycie białych spiralnych schodów z jasnego marmuru, które urywały się w powietrzu, strzaskanе i okaleczone. Stała na ostatnim stopniu i w pierwszych promieniach prześwitującego przez chmury słońca próbowała dostrzec choć ślad ściganej do niedawna burzy”.

Michał Cetnarowski

Rozdział I

WIDZĄCA

Mijał siedemdziesiąty drugi dzień, odkąd Ren Urtyjczyk, który chętnie przyznawał się do przydomku „Cudotwórca” nadanego mu niegdyś przez pewną małą dziewczynkę, trafił za udział w buncie do Zielonego Kamieniołomu, najcięższego więzienia w Królestwie Diogorii.

Dwa i pół miesiąca to właściwie niewiele, ale wystarczyło, by doprowadzić Rena do stanu uprzejmego zadziwienia tą częścią własnej osoby, która wciąż chciała żyć i która zmuszała omdlewające mięśnie do unoszenia kilofu i uderzania nim w jasnoszarą skałę, zupełnie jakby coś mogło się jeszcze zmienić, jakby miał przed sobą jakąś przyszłość, jakby Kamieniołom nie oznaczał śmierci za życia, a w odrobinę dalszej perspektywie – po prostu śmierci.

Siedemdziesiątego drugiego dnia pobytu Rena w tym miejscu okazało się jednak, że pragnienia owej części były zasadne.

W pierwszej chwili nie poczuł nawet ręki, która wylądowała na jego obolałym ramieniu. Dopiero kiedy go szarpnięto, zorientował się, że coś jest nie tak. Coś przełamało rutynę.

Było to tak szokujące, że przez moment po prostu wpatrywał się w osłupieniu w siwowłosego mężczyznę, który obrócił go twarzą do siebie. Potrzebował chwili, by dostrzec jego towarzysza – potężnego Diogorczyka o tępej, lecz przystojnej twarzy, którego kojarzył ze względu na jego wyjątkowe okrucieństwo.

– Powiem to raz – oświadczył siwowłosy strażnik. – I powinieneś wiedzieć, że nie muszę tego robić. Chcę dać ci szansę na rozsądne zachowanie. Więc powiem to raz. A jeśli twoja reakcja mnie rozczaruje, zrobi się nieprzyjemnie. – Zamilkł i popatrzył na Rena, jakby chciał się upewnić, czy ten zrozumiał. – Mamy w lochu Widzącą w transie. Nie wiemy, kiedy się zaczęło, ale znaleźliśmy ją mniej więcej godzinę temu.

Więzień zeszczywniał.

To mógł być blef. To musiał być blef, bo jeśli nim nie był, Ren zdecydował się właśnie na coś bardzo złego.

– Przykro mi – powiedział, chyba nawet dość sucho. „Panie” pchało się w usta, wylądowało nawet na końcu języka, ale udało mu się je powstrzymać. – Ale co ja mam z tym wspólnego?

Mężczyzna przez moment patrzył na niego w milczeniu.

– Kontakt i tak ją wybudzi – stwierdził wreszcie i skinął na swojego towarzysza. – Idziemy.

Drugi ze strażników zabrał więźniowi kilof, rozkuł mu nogi i popchnął do przodu. Ren poddawał się tym

zabiegom spokojnie, wręcz z otępieniem, i dopiero drwiące spojrzenie szarych oczu uświadomiło mu, że właśnie wpadł.

Powinien się wyrywać, zębami i pazurami trzymać tej ściany, kilofa, czegokolwiek, bo gdyby nie był Przewodnikiem, właśnie szykowano by mu los gorszy od śmierci. Widzące nie potrzebowały tak naprawdę wiele, by się ocknąć, wystarczał im najdrobniejszy kontakt z rzeczywistością, z jakimkolwiek umysłem. Tyle że niewykształony umysł po udzieleniu Widzącej takiej pomocy nigdy nie wracał już do normalności.

Ren zaczął więc protestować i się wyrywać, nawet dość przekonująco, ale było już za późno.

Wyprowadzili go z niecki, w której pracował, i skierowali w stronę budynku więzienia. Potem, kiedy Ren myślał o Kamieniołomie – a zdarzało się to częściej, niżby sobie życzył – widział go właśnie tak, jak zobaczył go wtedy. Poranne słońce odbijało się w ośnieżonych wierzchołkach gór, a cienie były głębokie i długie. Ciemna, ostra sylwetka wykutego bezpośrednio w zboczu góry kompleksu dominowała nad otoczeniem, choć przecież okoliczne szczyty pięły się o wiele wyżej niż najwyższe z wież.

Kamieniołom był prostszy niż większość diogorskich budowli, na które można było zazwyczaj patrzeć godzinami i wciąż znajdować nowe, zachwycające detale. Mimo tej prostoty zachwycał pięknem i musiał to przyznać nawet Ren. Każdy musiał to przyznać i być może dlatego smułka bryła wyglądała tak, jak wyglądała. Prędzej czy później trzeba było się zastanowić, jak można chcieć szkodzić nacji, która potrafi budować takie rzeczy.

Cóż, Ren chciał. Chciał i nie zamierzał przestać chcieć, bez względu na to, jak piękne klatki budowali i jak opłakany los szykowali tym, którzy do nich trafiali.

Wnętrze Kamieniołomu też miało w sobie surowe piękno – wysoko sklepione, wąskie korytarze, zapach zimnego kamienia – ale nie to zwróciło uwagę Przewodnika. Nie mogło zwrócić jego uwagi, bo prowadzono go w dół. Po setkach schodów.

Zaklął w duchu.

Mógł się tego spodziewać. Oczywiście, przy warunkach panujących w Kamieniołomie nietrudno było o przebudzenie talentu Widzącej, ale w podziemiach...

On sam na szczęście nigdy tam nie trafił, udało mu się sprzedać bajkę o tym, że po prostu chwycił za widły, kiedy zaczęły się walki. Nie było to trudne – jego sposób bycia wybitnie działał Diogorczykom na nerwy, zawsze trudno im było pojąć, że osoby zachowujące się niezgodnie z ich standardami mogą pełnić jakieś ważne funkcje, nie przesłuchiowano go więc szczególnie dogłębnie. Zdarzało mu się jednak leczyć ludzi, których Diogorczycy przesłuchiwali naprawdę. Wiedział też, że w Kamieniołomie tak nisko pod ziemią trzyma się więźniów, z których bardzo chce się coś wydobyć. I oczywiście takich, z których wydobyć coś trudno.

Nie miał więc dobrych przeczuć.

Schodzili i schodzili, zdawało mu się, że temu schodzeniu i przemierzaniu korytarzy nie będzie końca, więc był naprawdę zaskoczony, kiedy wielka łapa młodszego ze strażników zacisnęła się na jego ramieniu i pociągnęła do tyłu.

– Gdzie leziesz? To tu.

Ren spojrział na drzwi celi.

– Panie, proszę – zwrócił się do starszego Diogorczyka. – Młody jestem, popracuję jeszcze parę miesięcy, na pewno jest ktoś...

– Nie jesteś przekonujący – przerwał mu beznamyślnie mężczyzna.

– Panie...

Szare oczy patrzyły na niego z niezmaconym spokojem.

– Nie rozumiem, czemu nie zrobiono tego wcześniej.

Ren pobladł i tym razem przeraził się naprawdę.

Nie było żadnej Widzącej, a oni wiedzieli, kim jest, ten siwowłosy się domyślił.

W oczach strażnika dostrzegł błysk satysfakcji.

– Hornak, otwórz.

Olbrzym puścił jego ramię i zaczął gmerać przy kółku z kluczami. Ren zerknął w stronę schodów.

– Nie zdążysz.

Jasne, że by nie zdążył, ale może...

– I nie będziemy mieli powodu, żeby cię zabić. Zresztą...

Drzwi otworzyły się, a Ren zamarł. Powiódł po strażnikach – którzy najwyraźniej nic nie czuli... oczywiście, że nie czuli – szokowanym spojrzeniem.

– To nie trwa od godziny – wydusił.

Nie było już sensu udawać, a przede wszystkim nie miał prawa tego robić.

– To nie trwa od godziny – powtórzył, obcym, głębokim głosem dochodzącym gdzieś z trzewi.

– Możliwe – odparł ten starszy. – Nie wiemy, ile trwa. Przy porannym obchodzie już była w transie, mogła weń wpaść nawet kilka godzin wcześniej.

Ren zacisnął usta, szybko wszedł do celi i uklęknął przy kobiecie. Nie wziął od strażników lampy, ale nie była mu potrzebna, widział przecież dwa niewielkie półkola ciepłego, pomarańczowego blasku tak samo dokładnie jak towarzyszący mu mężczyźni. Oczy Widzącej. Były zamknięte, pewnie zaciśnięte, ale spod powiek i tak dobywało się światło. I w tym świetle powoli dostrzegał inne szczegóły. Kładło się na policzkach właściwie bardziej cieniem rzęs niż czymkolwiek innym, odbijało w ciasnych spiralach kręconych włosów, w kroplach potu, którymi pokryta była skóra Schanianki. Bo dziewczyna musiała być ze Schan, widział to już teraz, tylko oni mieli takie czaszki. Ze Schan, czyli pewnie z powstania. Syknął.

Usłyszał – może poczuł? – ruch za plecami. Do nikłego blasku z oczu Widzącej dołączyło światło lampy – strażnicy stanęli w drzwiach.

Tak, Schanianka. Włosy, które sprawiały teraz wrażenie, jakby ciemność nie tyle została rozproszona, ale zbiegła się w jedno miejsce, zgęstniała i skręciła w drobne spirale, skóra ciemna jak dębowa kora, wydatne kości policzkowe – nie tylko dlatego – że musieli ją głodzić – i ciało ćwiczone od dziecka, jeszcze nie zdążyli go zniszczyć. Piękne mięśnie, wszystkie napięte. Smukłe dłonie obejmujące głowę, zaciśnięte w pięści na włosach.

Może była akrobatką – cyrki w Schan były znane na całym świecie, wokół nich koncentrował się opór, to by się zgadzało... Coś mu jednak nie pasowało do tej koncepcji, coś w jej twarzy. Wojownicza?

Z drugiej strony teraz wszyscy mieli takie twarze – wszyscy, którzy trafili do Kamieniołomu, zanim Diogoria

nie wypłukała z nich odrębności, pozostawiając tylko jałową rezygnację.

Ren chciał ująć jej głowę w dłonie, ale gdy tylko jego skóra zetknęła się z jej, zamarł, wciągając gwałtownie powietrze.

Nigdy dotąd nie czuł czegoś takiego. Zwykle wejście w trans wiązało się z pewnym wysiłkiem, z koniecznością skupienia, a teraz wizje wyły gdzieś na granicy słuchu, wołały go, wyła też dziewczyna, tak mu się zdawało, chociaż to było przecież niemożliwe. Jeśli coś wymagało w tej sytuacji wysiłku, to utrzymanie się tutaj, na zewnątrz, na powierzchni.

– Przydałby się... – mruknął pod nosem.

– Co?

Przewodnik gwałtownie odwrócił głowę, zaskoczony i wściekły, głównie na siebie samego – niemal zapomniał o strażnikach i mało brakowało, by zaczął przy nich, a to by się dla nikogo dobrze skończyło. Dzikich transów nie można było przeprowadzać przy świadkach.

– Nic – odparł ostro i cicho. – Nie ma na to czasu. Zostawcie nas. To potrwa... – przeniósł wzrok na dziewczynę, wziął głęboki oddech i ostrożnie pogładził ją po głowie – ...kilka godzin. Niewykluczone, że do wieczora.

– Chcemy, żebyście potem...

Ren westchnął i spojrzał na mężczyznę ponuro.

– Nie ma czasu – powtórzył, powoli i dobitnie. – I nie gwarantuję, że dla niej, albo dla mnie, skoro o tym mowa, będzie jakies „potem”. Im dłużej tu jesteście, tym mniej jest to prawdopodobne. Trzeci raz nie powtórzę. Zostawcie nas.

W chwilę później drzwi się zamknęły, a Ren wreszcie mógł przestać się opierać.

Kiedy usłyszał dzikie wycie i poczuł silny podmuch na twarzy, miał jeszcze zamknięte oczy. Nie otworzył ich jeszcze także wtedy, gdy poczuł, jak świat się rozpada, ani wtedy, kiedy zobaczył, jak gwałtowny, porywisty wiatr porywa fragmenty rzeczywistości.

Przypominało to obraz zamrożony w tafli rozbitego zwierciadła, którego fragmenty unosiły się teraz w powietrzu. Brzeg jeziora, klif wyszarpięty ze świata razem z korzeniami – Ren nie chciał widzieć, jak wiruje w przestrzeni, jak sypie się z niego ziemia. To było złe, przyprawiało go o mdłości, nie chciał tej wiedzy i tego uczucia, jego umysł odrzucał je tak, jak żołądek odrzuciłby truciznę, nie chciał widzieć, więc otworzył oczy.

I widział nadal.

Klif wirował tuż przed nim, rozwijał się, rozbudowywał. Stała na nim ciemnoskóra dziewczyna, potem biegła, skakała do wody, poskręcana sosna walczyła o przetrwanie na skalistym podłożu, rosnąc i kurcząc się, trafiał w nią piorun i płonęła, ktoś się na niej wieszał, raz była tylko wątlą krzewinką, innym razem rozsadzała klif korzeniami. Ten wreszcie pękł, wybuchł z hukiem rozdieranej skały, Ren wrzasnął przerażony i nie krzyczał sam.

Taki był początek.

Kiedy się zorientował, że jego głos nie jest jedynym, przypomniał sobie, gdzie się znajduje i po co tu przyszedł. Nadal krzyczał, bo świat przed jego oczami wciąż eksplodował i odbudowywał się na nowo, ale jakaś część jego umysłu, ta wytrenowana przez lata uciążliwych ćwiczeń,

splatała jego krzyk z tym drugim, kobiecym, niewiarygodnie wściekłym. Była w nim rozpaczliwa determinacja i żądza mordu, groźba zniszczenia wszystkiego, co stało jej na drodze, wszystkiego, co ją tak urządziło.

Wściekała się, czuła to coraz wyraźniej, na samą siebie, na własną bezsilność. Na rozpacz i zwątpienie, które powoli zamieniały całą siłę, jaką w sobie miała, w muł, czarną, bezwładną, martwą masę.

W śmierć. Stał w niej po kolana i zapadał się coraz głębiej.

Najważniejsze w tym momencie było nie wpaść w panikę. Zachować spokój. „Po kolana w śmierci” – to nie to samo, co: „po szyję w śmierci”, Ren miał przecież spore pole manewru. Splatał swój krzyk i strach z krzykiem i strachem Widzącej już od dobrej chwili – więź nie była może silna, ale niezwykle intensywna; złota nić, jasny włos na ciemnym atłasie. Wystarczyło się jej trzymać. Wystarczyło za nią iść.

Nie wiedział potem – zanurzył się, zapadł w tym beznadziejnym mule, czy wyrwał do góry, niesiony przerażeniem i wściekłością? To był trans, więc możliwe, że tak naprawdę zrobił obie te rzeczy naraz. Przebił dno bagniska i jego powierzchnię, spadł jak kamień i wystrzelił w górę, pomknął za więzią, za złotą nicią, wewnątrz złotej nici – w obie strony.

Cokolwiek się stało, było ruchem. A kiedy ten ruch się zakończył, Ren stał naprzeciwko Widzącej.

Odkoczyła, gdy się przy niej pojawił, wylądowała kilka kroków dalej, niemal na krawędzi wyspy, tej resztki świata, na której się znaleźli. Uparty, wciąż bardzo silny wiatr szarpał jej włosy, przysłaniając nimi twarz, ale nie

zwracała na to uwagi – skupiona, czujna i wściekła wlepiła w Przewodnika spojrzenie zmrużonych oczu o niepokojąco jasnych, lśniących białkach. Jej dłonie bezwiednie powędrowały do bioder w poszukiwaniu broni, której nie było.

Niedobrze, powinna go rozpoznać, przecież więź już istniała.

– Spokojnie – powiedział, powoli unosząc ręce.

Milczała przez chwilę, przyglądając mu się uważnie i nie zmieniając pozycji, ale nim zdążyła zrobić cokolwiek więcej, żółta ziemia pod ich stopami się zatrzęsła. Ren usłyszał trzask, jakby coś pękło, a dziewczyna jęknęła, tyleż rozpaczliwie, co boleśnie, i na moment osunęła się na kolana, obejmując głowę rękami, zupełnie jak w celi, gdzieś tam, w innym świecie. W następnej chwili rzuciła się, niezbyt pewnie, w bok, tam, gdzie pojawiła się szczelina w gruncie, gdzie ten grunt już zaczął odrywać się od ich wyspy. Rozpaczliwie chwyciła krawędź piaskowej kry, ale ziemia sypała jej się spod palców, rozpadała na kawałki, by zaraz poszybować w ciemną nicość. Kobieta zawyła z frustracją, zaciskając pięści.

– Pomogę ci – powiedział Ren cicho, wiedząc, że ona i tak usłyszy. – Mogę ci pomóc.

Odwróciła się gwałtownie, jej włosy zatańczyły w powietrzu.

– Kłamiesz – wypluła zachrypniętym głosem, z wściekłością, pod którą kryła się nadzieja.

– Nie kłamię – odparł, robiąc ostrożny krok w jej stronę.

– Nie zbliżaj się! – wrzasnęła. – Nie zbliżaj się, zabiję cię, zabiję cię, zabiję, przysięgam, jeszcze jeden...

Jęknęła, zachwiała się, uniosła dłoń do skroni, zacisnęła zęby – i kolejna szczelina, która już zaczęła się wyrysowywać kilka kroków od Przewodnika, nagle się zamknęła. W ciemnych oczach dziewczyny zabłyśł triumf.

– No, kurwa – rzuciła, uśmiechając się nieprzyjemnie.

Ren westchnął w duchu. Powinien się spodziewać, że po tak długim czasie w tym stanie Widząca nie będzie pamiętać o niczym na zewnątrz – wystarczająco wiele wysiłku musiało ją kosztować utrzymanie własnej jaźni we względnej całości.

Trzeba więc było jej przypomnieć.

– Co tu robisz?

Gwałtownie odwróciła głowę, jakby na nowo przypominając sobie o jego obecności. Podchwycił jej spojrzenie, to wzmacniało więź. Chwilę później patrzyła mu w oczy nieco spokojniej, trochę jak zahipnotyzowana.

– Ja... – zaczęła niepewnie i urwała.

– Co to za miejsce? – drążył Ren.

– Nie...

– Gdzie byłaś wcześniej?

Przygryzła wargi, a w jej ciemnych oczach zabłyśła złość.

– A po co ci to wiedzieć?!

– Kamieniołom – spróbował Przewodnik. – Pamiętasz Kamieniołom?

Cofnęła się chwiejnie, szerzej otwierając oczy, po czym jej twarz znów wykrzywił grymas nienawiści. W jednej chwili znalazła się znowu przy nim, złapała za koszulę, przyciągnęła do siebie.

– Co to jest?! To jakieś ich sztuczki, tak?! – krzyczała mu prosto w twarz ze łzami w oczach. – No więc słuchaj

uważnie, padalcu: to nie działa! Nic mi nie zrobicie, nie dostaniecie, nic wam nie powiem, pierdolę wasze napary, wasze eliksiry, wasze... – Urwała gwałtownie, rozejrzała się. Wiatr już nie wył, a pękająca w powietrzu ziemia nie ogłuszała hukami. – Co się stało? – zapytała tonem zupełnie innym niż wcześniej.

– Zatrzymaliśmy to – wymamrotał z trudem Ren, nie puszczając jej nadgarstków, na których zacisnął palce, kiedy tylko pojawiła się po temu okazja. – Uspokój się. Skup. To nie żaden napar. To trans. Jesteś Widzącą.

Szerzej otworzyła oczy, cofnęła się.

– Czekaj, nie zrywaj kontaktu – powiedział szybko, spanikowany. – Potrzebujemy go.

Zatrzymała się, przynajmniej tyle, ale utkwione w nim spojrzenie wciąż było zszokowane i zagubione.

– Widzącą?

– Przykro mi.

– Ale ja nie mogę, mam...

– Nic już nie masz. – Nie przeszło mu nawet przez myśl, że może powinien być mniej brutalny. Z nią trzeba było tak czasem postępować, wiedział to już, czuł dzięki więzi. – Nie miałaś jeszcze przed transem, złapali cię przecież. Zabrali do Kamieniolołu.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę, przygryzając dolną wargę i powstrzymując płacz. Przesunęła rękę w uścisku Przewodnika, tak żeby złapać go za dłonie.

– Jak ci na imię? – zapytał. – Popatrz na mnie, proszę. Będzie nam łatwiej.

– Vera – wychrypiąła.

– Jestem Ren. Miło mi cię poznać, Vera.

Skrzywiła się. Płakała bez szłochu, po prostu łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach i pociągała nosem.

– Ciebie nie – odparła, a potem zamilkła na moment. – Co teraz?

Uśmiechnął się lekko, pokrzepiająco.

– Teraz? Teraz będzie lepiej. Masz osłonę. Masz Przewodnika.

Więź skrzyła się mocniej, zestaliła, a dziewczyna zachwiała na nogach.

Nikt do końca nie pojmował, jak to działało, ale fakt pozostawał faktem – te słowa o osłonie, o Przewodniku, były jak klucz. Wiedza o tym, na czym polega widzenie, co można, czego nie, gdzie są granice i jak z nimi igrzać, drzemała gdzieś w dotkniętych tym darem kobietach. Potrzebowały tylko, żeby ją wydobyć.

A może nie drzemała, może wchłaniały ją przez więź, podobnie jak znane Przewodnikom języki i, czasem, niektóre bardzo silne wspomnienia. Tak czy inaczej – działało. Działo najwyraźniej w sposób bardzo wyczerpujący dla poszarpanego transem umysłu Very, bo dziewczyna poruszyła dłonią, jakby znów chciała ją unieść do głowy, i jęknęła. Ren skupił się, sięgnął poprzez więź, wzmocnił ją nieco.

– Ćśś. Spokojnie. To normalne.

– Nic tu nie jest normalne.

– Nieprawda. To nadal trans. Zdecydowanie za długi, nie będę cię okłamywał, ale jesteś Widzącą. Nie ma dla ciebie nic normalniejszego.

– Wszystko jest normalniejsze – odparła gorzko, ochryplym głosem i patrząc jakby przez Rena. – Co teraz będzie?

Doskonale wiedział, o co pytała, i nie rozumiał czemu udaje, że jest inaczej. Idiotyczny, ludzki odruch z powierzchni, ze świata, w którym można było mieć nadzieję że da się uniknąć odpowiedzi na niewygodne pytania.

Rozejrzył się po otoczeniu. Wiatr tam nadal wiał, a zawieszony w przestrzeni fragmenty gruntu wciąż się zmieniały, wirowały i przekształcały, ale wszystko to zdawało się przebiegać wolniej i spokojniej niż wcześniej.

– Teraz, kiedy będziesz gotowa, wpuścimy wizję, a potem...

– Ren.

Westchnął.

– Nie wiem, skarbie. Powinnaś przeżyć, skoro tak długo się utrzymałaś. To nie wpływa na ciało.

– A na... resztę?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie wyjdiesz z tego bez szwanku, tego jestem pewien, ale co się stanie... – Urwał, widząc, że dziewczyna go nie słucha. Wciąż patrzyła przez niego, gdzieś w przestrzeń. Nagle zogniskowała spojrzenie na nim i przez mgnienie oka było pełne żalu, straszliwie smutne.

– Mogło być gorzej – szepnęła, a potem się podniosła. Kiedy usiedli na brudnożółtym, wilgotnym piasku? Ren nie wiedział. Tu czasem tak było. – Chodź. Pokaż mi tę wizję.

Popatrzył na nią uważnie, również wstając.

– Jesteś pewna? Gotowa?

Miał nadzieję, że tak, bo trzymanie tego wszystkiego w kupie sporo go kosztowało i nie był pewien nie tylko

tego, co będzie z nią, kiedy się obudzi – nie wiedział też, co będzie z nim.

– Ja? – Posłała mu ten charakterystyczny dla Widzących uśmiech kogoś, kto wie zbyt dużo i odpowiada na pytanie zupełnie inne od tego, które mu zadano. Wciąż płakała. – Tak. Tak, Ren.

– Świetnie. Daj rękę.

– Nie puściłam jej.

– Och. – Ren zamrugął. – No to lecimy, skarbie.

– Vera – poprawiła, jakby to było niezwykle ważne.

– Lecimy, Vera – poprawił się posłusznie.

Skinęła głowę, więc zabrał się do zdejmowania zasłony, która oddzielała ich od wizji. Robił to delikatnie, najstaranniej, jak umiał, i prawie nie zauważyli, kiedy ich stopy oderwały się od ziemi i poszybowali ku jednej z zawieszonych w powietrzu wysp, ku przyszłości.

Rozdział II

KRÓL

Mijał czwarty rok, odkąd Jorg Astenis, mężczyzna, który zaprowadził Rena do Widzącej, tym samym odmieniając losy świata, trafił do Zielonego Kamieniołomu, najcięższego więzienia w królestwie Diogorii.

Rzeczą, z której buntownicy w Kamieniołomie nie zdawali sobie sprawy, był fakt, że ich nadzorcy również są uwięzieni. Występowały różnice w warunkach życia, obowiązkach czy statusie prawnym, ale w ostatecznym rozrachunku zarówno ci, którzy pracowali nad siły, łupiąc kamienie czy wydobywając z nich trycyt, jak i ci, którzy ich pilnowali, byli odcięci od świata. Zresztą jedni i drudzy trafiali do Kamieniołomu za karę lub w konsekwencji nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Tak dla jednych, jak i dla drugich nie było powrotu na wolność.

Aż do tego dnia. Był to jeden z wielu powodów, dla których serce oczekującego na audiencję Jorga biło jak oszalałe.

Głównym powodem była, rzecz jasna, sama audyencja. Spotkanie sam na sam z królem stanowiło w Diogorii niewiarygodny zaszczyt i Jorgowi nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że mógłby go dostąpić. To, że władca przebywał właśnie w Kamieniołomie z tradycyjną, składaną co roku wizytą, stanowiło niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności – albo splot przeznaczenia.

Gdyby jednak chodziło tylko o zaszczyt – albo tylko o zaszczyt i ogromną liczbę schodów, które żołnierz musiał przemierzyć, by znaleźć się przed salą audiencyjną – Jorg zdołałby opanować się na tyle, by zignorować łomotanie własnego serca. Może zresztą nie łomotałoby wtedy aż tak bardzo.

Prócz samego faktu audyencji i liczby schodów była jednak jeszcze kwestia konsekwencji rozmowy z królem. Jorg miał już swoje lata i potrafił rozpoznać szansę, kiedy się przed nim pojawiała, wiedział, kiedy życie zaprasza go do gry. Wiedział też, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa właśnie zrobiło to po raz ostatni i że, jak w większości ostatnich gier, stawką było wszystko.

Mógł odzyskać honor, wolność, odpowiedzialność, mógł nawet zyskać możliwość zemsty i wyrwać się z Kamieniołomu. Musiał tylko dobrze wszystko rozegrać.

Dlatego serce waliło mu jak młotem i dlatego starał się wyglądać na bardziej opanowanego niż zwykle. Nie było to łatwe, zwłaszcza gdy drzwi komnaty, przed którą czekał, otworzyły się i kiedy wyszła przez nie gwardzistka.

– Jego wysokość czeka – oznajmiła.

Jorg oszczędnie skinął głową i wszedł do pomieszczenia. Ukłąkł, tak jak nakazywały zwyczaj i jego własne serce,

poczekał, aż król pozwoli mu wstać, a zrobiwszy to, wyprężył się jak struna.

Sala audiencyjna była przestronna i piękna. Wyposażono ją w dwa rzędy wysokich, wąskich okien, przez które wpadało światło księżyca, kładąc się na kamiennej posadzce jasnymi plamami, poprzecinanymi szerokimi liniami czarnych kolumn. Cienie wprawionych w okna żeliwnych ozdób rysowały w tym wszystkim harmonijne węzowe wzory. Strzeliste sklepienie ginęło gdzieś w mroku.

W sali nie było tronu – nie w diogorskim rozumieniu tego słowa – było natomiast krzesło. Wysokie, żeliwne, z ażurową konstrukcją, która sprawiała, że zdawało się bardziej oprawą dla powietrza niż czymkolwiek innym. Wyposażono je w trzy metalowe schodki, po których trzeba było się wspiąć, by na nim zasiąść, oprzeć plecy o wysokie oparcie, kształtem przywodzące na myśl błoniaste skrzydło nietoperza, i pozwolić dłoniom spocząć na podłokietnikach wykutych na kształt kół zębatach.

Południowcy mawiali, że serca Diogorczyków nigdy nie przyspieszają, że kiedy ci bladzi, wysocy, milczący ludzie z północy coś gwałtownie przeżywają, ich krew zaczyna płynąć wolniej. Coś musiało w tym być, ponieważ Jorg miał wrażenie, jakby jego serce na moment się zatrzymało.

Na krześle siedział bowiem Vabris Emet Diogor, trzydziesty z kolei władca kraju, którego nazwa pochodziła od nazwy jego dynastii, i przyglądał się Jorgowi z kamienną twarzą.

Wyglądał tak, jak powinien wyglądać budzący szacunek diogorski przywódca. Miał blade, poznaczone drobnymi zmarszczkami, surowe oblicze i zimne, przenikliwe, jasnobłękitne oczy. Czarne, siwiejące na skroniach włosy

zebrał w misterny warkocz, którego splot znany był od wieków tylko członkom rodziny królewskiej – Diogorowie nie nosili koron, bo żadna korona nie mogłaby się równać z tym uczesaniem. Pamiętnej nocy, gdy zebrali się, by poprzysiąc zemstę swym ciemźycielom i obiecać wielkość swym potomkom, kiedy Diogoria, mimo podeszłego wieku obdarzona umysłem ostrym jak brzytwa, tłumaczyła rodzinie plan działania, tak właśnie uczesała wszystkie swoje dzieci.

„Nie mamy nic prócz własnych ciał i własnych umysłów – miała wtedy powiedzieć. – A zatem z naszych ciał i umysłów będą wyrastać nasze insygnia”.

Słowa te – podobnie jak wszystkie inne, które wypowiedziała tamtej nocy – nadawały państwu kształt przez następnych sześćset lat i zanosilo się na to, że będą go nadawać do końca świata.

Diogor nie nosił więc korony i nie miał berła, a od kąd rozpoczął podbój Południa, nie zakładał ozdobnych ubrań – chodził w zbroi, która nie różniła się od tej przywdziewanej przez przeciętnego żołnierza. Cała jego królewskość pochodziła tylko z niego. To wystarczało.

– Naczelnik powiedział mi, że w czasie obchodu znalazłeś Widzącą w transie – odezwał się władca – i że szybko wyposażyłeś ją w Przewodnika. Czy to prawda?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Skąd wiedziałeś, że to Przewodnik? Dlaczego tylko ty?

– Nie wiedziałem, Wasza Wysokość – odparł szczerze Jorg. – Podejrzywałem jedynie na podstawie pewnych zachowań. Nie dawano jednak wiary moim podejrzaniom, dlatego więzień pracował w kamieniołomie.

– Jakie zachowania masz na myśli?

– Drobne rzeczy, Wasza Wysokość. Budzi się od razu w pełni przytomny, zna języki. Stara się by nikt o tym nie wiedział, ale widać po nim, że rozumie. Znać po nim wykształcenie, lecz próbuje je ukryć.

Król skinął głową z aprobatą.

– Dlaczego tu trafiłeś?

Jorg poczuł, że coś przewraca mu się w żołądku. Minęło już pięć lat, a nadal z trudem przychodziło mu myślenie o tamtych wydarzeniach.

– Straciłem oddział w Schan, Wasza Wysokość. – Udało mu się sprawić, by jego ton brzmiał spokojnie i rzeczowo. – Nie wiem, w jakim stopniu Wasza Wysokość jest zaznajomiony z przebiegiem tamtej kampanii...

– Nie pamiętam szczegółów.

– Opór koncentrował się wokół wędrownych cyrków, szczególnie wokół pokazów tak zwanych siffango. To były bardzo widowiskowe walki na scenie, widownia uważała, że są prawdziwe. Dwoje pośród siffango okazało się niezwykle inspirującymi dla ludu. Wierzyłem, że zabicie ich to zły pomysł, uczyniłoby z nich jedynie męczenników, generał Mavros się ze mną zgodził. Zaaprobował też mój plan, który polegał na publicznym ujawnieniu tego, że pokazy to z góry przygotowane występy. Wiedzieliśmy od naszych szpiegów, że tak jest. Plan się powiódł, dowiedliśmy, że to wszystko jest sztuczne, tyle że w wypadku tamtej dwójki nie była to prawda. Oszukali nas, dopadli, kiedy czuliśmy się bezpiecznie, podpalili kwatery, pokazali, że faktycznie potrafią walczyć w sposób, któremu trudno dorównać. Niewielu z moich ludzi to przeżyło.

– Niewielu z twoich ludzi przeżyło atak dwóch osób – powtórzył król po chwili milczenia.

– Tak, Wasza Wysokość. Gdy kampania się zakończyła, przeniesiono mnie i jednego z moich podwładnych tutaj.

– Rozumiem.

– Ta Widząca, Vera... jest jedną z tej dwójki.

Diogor uniósł brwi.

– Jesteś pewien? Schanianki są do siebie dość podobne.

– Nie zapomina się oblicza porażki, Wasza Wysokość.

– To prawda – przyznał władca. – Co możesz mi o niej powiedzieć?

Jorg odetchnął głęboko.

– Nie będzie przydatna, Wasza Wysokość. To bardzo prosta, niezbyt rozgarnięta dziewczyna, zaślepiona ideą. Widziałem, jak ją przywieźli, byłem przy jednym przestępstwie. Jeśli zmieniła się jakoś przez te lata, to tylko na gorsze, stała się bardziej zaciekle. Miała rodzinę, Wasza Wysokość, przynajmniej jedno dziecko i męża. Nie widzę możliwości, by poszła na współpracę.

Król pokiwał głową w zamyśleniu.

– Wiesz, jak długo trwał ten jej trans? – zapytał.

– Przewodnik dał nam do zrozumienia, że zbyt długo. Zdawał się być w szoku, nie sądzę, by kłamał. Wspomniał, że mogą oboje nie przeżyć.

Diogor znów skinął głową.

– Dobrze.

Jorg czekał przez chwilę na ciąg dalszy, kiedy jednak ten nie nastąpił, postanowił się odezwać. Było to zachowanie balansujące na granicy etykiety, ale pokazywało jego

zaangażowanie i żądzę wiedzy, poza tym na trzymaniu się z dala od granic nie mógł w swojej sytuacji nic ugrać.

– Wasza Wysokość?

– Widzące zostają Widzącymi, ponieważ obdarzone są wolą wystarczająco silną, by trans jej nie rozerwał – rzekł król. Jorg wiedział o tym, każdy Diogorczyk o tym wiedział: to był przecież powód, dla którego w Diogorii przeprowadzono Ryt Krwi. Z racji wychowania pojawiało się tam po prostu zbyt wiele Widzących. – O ile mi jednak wiadomo, ta silna woła nie niweluje całkowicie niszczącego wpływu transu. Jeśli dziewczyna to przeżyje, może się okazać bardziej spolegliwa niż wcześniej.

– Rozumiem, Wasza Wysokość.

– Doskonale – uznał król. – To wszystko, czego chciałem się od ciebie dowiedzieć. Możesz odejść, w razie potrzeby zostaniesz wezwany.

„Daleko od granic nic nie osiągniesz – powtórzył Jorg w myślach. – Nie zyskasz nowego pola, nie odbijesz starego”.

– Wasza Wysokość, jeżeli mogę...

Diogor pozwolił, by na jego twarzy odmalowało się uprzejme, pozbawione nagany zdziwienie.

– Nie mamy pewności, czy uda się ją po wszystkim nakłonić do współpracy – zaczął Jorg ostrożnie. Myśli i skojarzenia gnały przez jego umysł, błyskawiczne i nieuchwytnie. Lubił ten stan, choć na dłuższą metę był on męczący i irytujący. Nienawidził mówić, dopóki nie minął, dopóki wszystko się nie zatrzymało i nie wyklarowało. Teraz jednak nie miał wyboru, nie miał czasu nawet na obawy, że jego wywód okaże się mętny.

– Istnieje co prawda pewna szansa – ciągnął – lecz niewielka, ponieważ Widząca będzie prawdopodobnie miała oparcie w Przewodniku. Wasza Wysokość... – Tak. Zatrzymały się. Zastygły w zachwycającej konstrukcji i Jorg wiedział, że dokładnie tak powinny wyglądać. Było w nich światło.

– Nie powinniśmy jej do niczego namawiać ani nakłaniać, Wasza Wysokość. Powinniśmy mieć ją, jej upór, głupotę i fanatyzm, na własność. Po wyjściu z transu będzie otumaniona i zdezorientowana. Poglębmy ten stan, a potem podajmy pomocną dłoń, wyprowadźmy na ścieżkę, wyjaśnijmy, kim jest. Wiem, że jeden z więźniów zajmował się wcześniej alchemią. To człowiek, który z radością podejmie z nami współpracę. Alchemików i lekarzy szkoliło się w Zakonie Przewodników, zatem ów więzień z pewnością wie, jak nie zrobić jej krzywdy. Odpowiednie narkotyki, jeśli zaczniemy podawać je bezpośrednio po transie, moim zdaniem powinny umożliwić ukształtowanie Widzącej w dogodny dla nas sposób.

Diogor przez chwilę patrzył na żołnierza w milczeniu, z kamienną twarzą. Potem z uznaniem pokiwał głową.

– Zajmij się tym – powiedział. – Niech ci sprowadzą tego więźnia. Kiedy trans dobiegnie końca, natychmiast rozdziel Widzącą i Przewodnika, na razie nie chcę, by mieli kontakt większy niż to konieczne. Poinformuję naczelnika o twojej nowej pozycji i obowiązkach.

Jorg nie uśmiechnął się – nie wypadało – ale kiedy padł na kolana i dotknął czołem podłogi, by wyrazić wdzięczność, emanował energią i werwą, jakich wcześniej trudno byłoby się dopatrzeć w jego ruchach.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział i podniósł się na nogi. A podniósłszy, zamarł.

Piękny, jaśniejący model w jego głowie obrócił się lekko i okazało się, że jeśli spojrzeć pod trochę innym kątem, zije w nim wielka, szpetna dziura. To musiało się odbić na jego twarzy, bo król się uśmiechnął – pobłaźliwie i po-krzepiająco.

– Nadasz jej inne imię – powiedział uspokajającym tonem. – To znaczy... będziesz nazywał ją innym imieniem. Widzenie eroduje więzi z żywiołami, przesuwają je. Zrywa, jak może wiesz, wszystkie przysięgi, które stają mu na drodze.

– Ale Wasza Wysokość...

Król pokręcił głową.

– To nie będzie kłamstwo, nie co do istoty. Ona jest Widząca i będziemy nazywać ją Widzącą. Jej związek z imieniem jest teraz luźniejszy, drugorzędny. Możemy je więc pominąć.

– A Przewodnik?

– Zajmę się nim. Możesz odejść do swoich obowiązków, lahetan.

Serce Jorga zabiło mocniej. „Lahetan”.

To wszystko zmieniało. Oto w jednej chwili przestał być bystrym strażnikiem więziennym. Stał się specjalnym wysłannikiem władcy Diogorii, odpowiadającym jedynie przed nim.

Gdy opuścił komnatę audiencyjną, z trudem przychodziło mu powstrzymanie się od biegu korytarzami z pieśnią na ustach i obwieszania każdemu, kogo napotka, że Jego Wysokość Król Vabris Emet Diogor przywrócił go do życia.

Tęsknił za tym.

To było pierwsze, o czym Ren pomyślał, kiedy odzyskał przytomność. Jego umysł odnotował wprawdzie wszystkie bodźce – zmęczenie, inną celę, porę, to, że był sam – i, tak jak go uczono, zinterpretował je od razu i złożył w spójny obraz – ale pierwsza myśl Przewodnika nie dotyczyła zaistniałej wokół sytuacji i jej możliwych implikacji, ale tęsknoty właśnie i ulgi związanej z tym, że minęła.

Jego poprzednia, pierwsza Widząca zginęła trzy lata wcześniej. Nie przez cały czas zdawał sobie sprawę z tego, jak samotny czuł się przez ten czas; z początku, pędzony nienawiścią, rozpaczą i żalem, w ogóle tego nie zauważał.

Lecz kiedy to sobie uświadamiał...

Czasem bał się, że już nigdy nie będzie w stanie stworzyć więzi, bo przecież zapomniał to uczucie. Wiedział, że istniało, ale nie potrafił go już sobie wyobrazić. Było tak, jakby stracił to miejsce, w którym była więź. Nie chodziło o pustkę, o dziurę czy ranę – po prostu o niemożność. Stworzenie więzi zdawało mu się czymś tak niewyobrażalnym jak złapanie powietrza pod wodą, jak próba wdrapania się na gładką, pionową ścianę.

Teraz mógł się tylko z tego śmiać – nie z niemożności, z niej by nie mógł, zbyt złe było to wspomnienie i zbyt go dotykało – lecz z tej obawy. Nie będzie mógł stworzyć więzi – dobre sobie! Zupełnie jakby to od niego zależało, jakby mógł to kontrolować. Jakby to nie była kwestia dwóch osób i tego, co pojawia się między nimi.

Na żywioły, jak tęsknił, jak straszliwie tęsknił!

A teraz obudził się i po prostu tam była – kaleka i zamglona, słaba, nie taka, jak powinna być, czuł to nawet teraz, ale to była więź. Nie był sam. Potrzebował kogoś, a ktoś potrzebował jego.

Teraz, kiedy ta rana została zaleczona, nawet Kamieniołom tracił coś ze swojej beznadziei.

Chociaż nie tylko ze względu na to. Było grubo po południu, od momentu, gdy zaprowadzili go do Widzącej, minęło niemal dwadzieścia godzin – Ren wiedział o tym, ponieważ, jak każdy Przewodnik, miał niewiarygodne poczucie czasu, w tym tego, który mijał, kiedy był nieprzytomny. Mimo późnej pory znajdował się w celi – nikt nie obudził go ze świtem i nie zagnał do roboty. Cella była zresztą niemalże luksusowa: pojedyncza, z pryczą zamiast wiązki siana, z oknem i nawet z jedzeniem postawionym przy drzwiach. Ren nie rzucił się na nie jak dzikie zwierzę, miał swoją godność, ale musiał niestety przyznać, że zimna, wodnista polewka i suche kawałki chleba smakowały mu jak chyba nigdy nic innego. Wiedza o tym, co głód robi z wrażeniami smakowymi, wcale nie pomniejszała jego zachwyty. Trochę się tego przed sobą wstydził.

Wstydził się też ulgi, która wiązała się z tym, że nie próbowali zmusić go do pracy w kamieniołomie, i psiej niemal wdzięczności za celę.

Ale najbardziej wstydził się strachu, który skręcił mu trzewia, kiedy skomplikowany diogorski zamek zaczął się obracać, kiedy drzwi się otworzyły i kiedy stanęli w nich ci sami ludzie, którzy poprzedniego dnia zawiedli go do Widzącej. Ten młodszy i większy trzymał przed sobą balie z wodą, z nadgarstka zwisał mu płócienny worek.

– Nie śpisz. Dobrze – powiedział siwowłosa i skinął na towarzysza. Ten wszedł do celi i postawił balię na podłodze. Obok położył worek. – Umyj się. Jego Wysokość będzie z tobą rozmawiał.

Ren przez moment wlepił w mężczyzną nierozumiejące spojrzenie.

– Kim – zaryzykował wreszcie – jest Jego Wysokość?

Strażnik uniósł lekko kąciki ust w sugestii drwiącego uśmiechu. Mimika Diogorczyków zazwyczaj tak wyglądała – sugestie zamiast wyraźnych grymasów.

– Królem Diogorii – odpowiedział w nauryskim, ojczyściej mowie Rena. – Myślałem, że lepiej was uczą języków.

– Król Diogorii – powtórzył Ren powoli. – Tutaj? – upewnił się.

– Nie, nie będzie rozmawiał z tobą tutaj. Zabierzemy cię do komnaty audiencyjnej.

– Ale jak...? Dlaczego...? Co on tutaj...?

– Nikt nie będzie ci tłumaczył, dlaczego Jego Wysokość znalazł się w takim, a nie innym miejscu, więźniu – przewał mu szorstko mężczyzna. – Umyjesz się sam czy mamy ci pomóc?

– Sam – odparł Ren. Nieco się uspokoił, ale nadal miał nieprzyjemne poczucie, że krew w jego żyłach ścięła się w lód.

– Doskonale. W torbie masz przybory i czyste ubranie. Wrócimy za... – żołnierz przyjrzał się Przewodnikowi krytycznie, najwyraźniej oceniając, ile może mu zająć doprowadzenie się do porządku – ...godzinę. Może trochę ponad godzinę.

To rzekłszy, ruszył do drzwi.

– Czekaj! – zawołał Ren i zaraz się poprawił: – ...cie, panie! – Prawie się za to nie nienawdził, sprawa była bowiem na tyle ważna, że mógł zapomnieć o dumie. – Co z Verą? – Więż była zbyt słaba, żeby mógł to ocenić, i trochę go to niepokoiło, ale w gruncie rzeczy nie był tym zdziwiony: dziewczyna przebywała przecież w transie zdecydowanie zbyt długo.

Strażnik znów przywołał na twarz sugestią uśmiechu i było w niej coś, co zupełnie się Renowi nie podobało.

– Widząca śpi – oznajmił, a potem obaj zostawili Przewodnika samego w celi.

Na wodę i mydło – mydło! – rzucił się jeszcze bardziej łapczywie niż na jedzenie i dopiero w połowie golenia zorientował się, jak go załatwili.

Wystarczyła przynęta, odrobina, luksusu i oto jak goliwy poddany szykował się do audiencji u króla, którego nienawdził i którym chciał gardzić. Takim go właśnie chcieli przed Diogorem postawić: poddanym, uległym, pokornym. Aż się zaciął z wrażenia. Nie był potem pewien, czy nie zrobił tego specjalnie.

Walką, którą stoczył ze sobą później – żeby nie skończyć się golić, żeby nie założyć na siebie czystych – na żywy, Królowo, czystych! – ubrań, była tak trudna, że szarpaniny ze strażnikami, którzy uznali, że wsadzą go w te ciuchy, czy chce, czy nie, nawet nie zauważył. Nie udało im się jednak ogolić go do końca, toteż przed królem stanął z jednym policzkiem gładkim, a drugim pokrytym zarostem.

Spojrzenie, jakim obrzucił go władca, sprawiło, że momentalnie tego pożałował. Było w tym mężczyźnie, w jego postawie albo może oczach, coś, co nie pozwalało

na lekceważenie go. Ren zrozumiał, że powinien okazać mu przynajmniej tyle szacunku, ile równemu sobie. Teraz tkwił w pułapce i mógł jedynie wybierać, czy pogorszy swoją sytuację bardziej, czy mniej. Tak naprawdę nie był to wybór – a na pewno nie szczególnie trudny. Przewodnik dobrowolnie ukląkł więc przed monarchą, pochylił nawet głowę, w gruncie rzeczy całkiem zadowolony, że może ukryć tę idiotycznie wyglądającą na wpół ogoloną twarz.

– Zostawcie nas – polecił król.

Kilka uderzeń serca później drzwi za żołnierzami się zamknęły.

– Podnieś głowę. Lepiej, jeśli będziemy na siebie patrzyli w czasie tej rozmowy.

Ren wykonał polecenie. Diogor przez chwilę mierzył go wzrokiem – nie była to długa chwila, Ren o tym przecież wiedział, ale wydawało mu się, że trwa wieczność.

– Potrzebuję od ciebie przysięgi krwi – oznajmił król. – Złóżysz ją dziś w nocy, akurat jest pełnia. Przysięgniesz nie wypowiadać imienia Widzącej.

Ren po raz kolejny tego dnia odniósł wrażenie, że krew ścina mu się w żyłach. Cokolwiek zamierzył władca, musiało być obrzydliwe. I niebezpieczne, skoro wymagał od niego, by nie przywoływał pierwotnej, nadanej żywiołami tożsamości Widzą...

Skurwysyny. Na żywioły, co za skurwiele.

– Nie mogę tego zrobić, Wasza Wysokość. To osłabi więź, a ona i bez tego jest bardzo słaba.

Król ledwie dostrzegalnym gestem skinął na jednego z gwardzistów, kobietę. Ren ledwie zauważył jej ruch.

Cios w policzek – ten ogolony – nie był mocny, ale wyjątkowo dotkliwy. I upokarzający. Wszystko w tej komnacie było upokarzające.

– Nie próbuj mnie więcej okłamywać – powiedział spokojnie Diogor. – Widzenie działa w poprzek żywiołów, wiem o tym. Odsunęło jej imię, dziewczyna jest Widzącą w większym stopniu, niż jest Verą, umysł ma osłabiony tak, że uwierzy we wszystko, co jej powiemy, zwłaszcza jeśli pomożemy sobie narkotykami. Straciła pamięć, to też ułatwia sprawę. Nie przywołasz jej imienia.

– Nie mogę, Wasza Wysokość – powtórzył Ren, ale tym razem zdecydował się na prawdę. – Przysięgałem chronić Widzące.

– Przysięga Przewodnika nie jest przysięgą żywiołów. O tym również wiem.

– Dlatego jest tak cenna, Wasza Wysokość.

Jednak dało się zdobyć przewagę w rozmowie z tym człowiekiem – Diogor spojrział na Rena z szacunkiem. Przewodnik nawet nie próbował walczyć z dumą.

– Będziesz chronił Widzące. Ze swoim imieniem jest dla nas bezużyteczna.

Świat oddalił się na moment.

Zabijają ją. Znowu ją zabijają.

To było dziwne, paskudne uczucie. Jakby wszystko wokół nagle okazało się zrobione z popiołu. Jakby on sam był z popiołu – popiół w ustach, w gardle, w sercu, w żołądku. Ren nie zdziwiłby się gdyby jego oczy z brązowych zrobiły się szare, martwe, popielne.

Nie odpowiedział. Tylko popatrzył.

– Widzimy się dziś w nocy, jak rozumiem – powiedział król.

Przewodnik przez moment trwał w bezruchu. Wreszcie zmusił się do skinięcia głową.

Nic innego nie mógł zrobić.

– Doskonale. Pozostaje jeszcze kwestia tego, skąd cię do mnie przyprowadzą.

– Słucham. – Zdziwił się, jak matowo i płasko brzmiał jego głos.

– Tym razem stoisz przed wyborem, Przewodniku. Będziesz przeprowadzał ją przez transy, to jasne. Możesz przysiąc mi wierność i stać się wolnym człowiekiem, moim poddanym, cieszącym się zresztą większymi przywilejami, niż mógłby jakikolwiek inny Południowiec. Możesz też robić to jako więzień. Nie będę cię do niczego zmuszał, wydaję mi się jednak że wybór jest dość prosty.

„Mógłbym więcej – przemknęło Renowi przez głowę. – Mógłbym coś zrobić, pomóc jej, mógłbym...”

Spożywać normalne jedzenie. Spać na łóżku. Myć się codziennie. Nie nosić kajdan.

„Kradną jej imię”.

„Kradną jej imię”.

Zamknął na moment oczy.

– Jest, Wasza Wysokość.

Świat okazał się zbudowany z popiołu, tak, owszem.

Lecz świeży popiół, jeśli się postarać, potrafi się czasem zamienić w całkiem porządny ogień. A czasami nie trzeba się nawet starać – wystarczy odpowiednio silny podmuch wiatru.

„Kradną jej imię”.

– Jeśli to już wszystko, to sądzę, że ktoś powinien mnie teraz odprowadzić do celi.

Nie potrzebował mocy więcej. Nie potrzebował niczego robić. Nie chodziło o niego, chodziło o nich dwoje i to, co między nimi. Musiał tylko być obok. Stać się wyrwą w świecie, który chcieli skonstruować dla Very Diogorczy-
cy. Najbliższym jej człowiekiem, znajdującym się jednak po drugiej stronie barykady. Tylko to dawało szansę, że iluzja się posypie.

To w każdym razie powtarzał sobie potem w najmroczniejszych, najgorszych chwilach.

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń

EQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON



seria

Fantastycznie Nieobliczalni

CYNOBROWE POLA

Aleksandra Radlak

ILUZJA

Marta Malinowska

REGUŁA ZAKONU

Piotr Górski

OPENMINDER

Magdalena Świerczek-Gryboś

SKRZYDŁA

Karolina Fedyk

NA CO CIĘ STAĆ W OBRONIE WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI?

W Południowych Królestwach, zróżnicowanych i skłóconych dominacjach, niektóre kobiety widzą przyszłość. Ich Przewodnikami zostają mężczyźni, którzy przeszli długie szkolenie i niebezpieczne rytuały. W Diogorii – krainie skomplikowanych maszyn, honoru i opanowania – nie ma osób obdarzonych talentem magicznym, ale nie brak tam dzielnych wojowników, łaknących podbojów, zaszczytów i sławy.

Król Diogorii zamierza podbić Południe za pomocą jego własnej broni – magii. Wykorzystuje w tym celu jeńców, Widzącą Verę i Przewodnika Rena. Verze odbiera tożsamość, a Renowi nakazuje wytropić buntowników w jego rodzinnym mieście.

Losy bohaterów spoczywają w rękach moźnych tego świata, lecz pragnienie wolności i nadzieja nie pozwalają im się poddać.

ILUZJA to opowieść o niezמודowanej, gniewnej cierpliwości. O wyczekiwaniu na swój moment w posępnym, gęstym bezczasie. I o tym, co się dzieje, gdy ten moment nadejdzie.

W sensualnej, bogatej w sącyste opisy, pełnej witalnej energii Iluzji, gdzie magia jest emocją, a kobiety stanowią siłę kształtującą rzeczywistość, bardzo ładnie widać inspirowanie Ursulą Le Guin, N.K. Jemisin i Sapkowskim.

MICHAŁ CETNAROWSKI

Powieści fantasy można pisać ogniem i lodem, można pisać je też krwią. Marta Malinowska napisała swoje fantasy emocjami. Dostaniecie tu oryginalny świat, złowrogie imperium i magię, a wszystko to podane z werwą rasowego thrillera. Przede wszystkim jednak dostaniecie bohaterów o uczuciach jak żywioty, którzy grają o stawkę wyższą niż losy imperium. Od dawna nie zaangażowałem się tak bardzo w losy bohaterów powieści.

PAWEŁ MAJKA

Widząca, która utraciła pamięć i przeszła pranie mózgu, mistrzyni walki, która teraz walczy dla wroga. Przewodnik, który porzucił swoich towarzyszy i zawiódł jako rebeliant, związany przysięgą krwi niszczy zamiast chronić. W starożytnej Źrcie znajdującej się pod diogorską okupacją ta dwójka próbuje odzyskać to, co utracone, lecz żeby tego dokonać – najpierw musi nie pozabijać się nawzajem. Klasyczne fantasy, gdzie magia miesza się z pałacowymi intrygami, duchy rządzą krokami żywych, a nienawiść nie daje szans miłości.

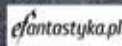
BARTEK BIEDRZYCKI

www.wydawnictwoopl.pl



9 788365 836151

PATRONI
MEDIALNI:



BESTIARIUSZ
potwornie fantastyczny

KAWERNA